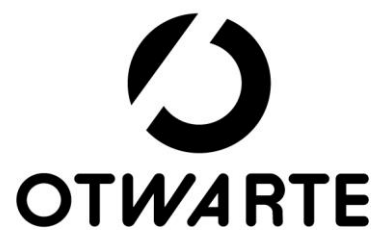


HEIDI PERKS

JAK MOGŁAŚ

tłumaczenie Daria Kuczyńska-Szymala

Kraków 2018



TERAZ

– Nazywam się Charlotte Reynolds. – Pochyliam się, mówiąc do magnetofonu, choć sama nie wiem dlaczego. Może czuję po prostu potrzebę, żeby przynajmniej moje imię i nazwisko zabrzmiały wyraźnie i zdecydowanie. Sięgam po stojącą przede mną szklankę, chwytam ją opuszkami palców i powoli obracam w lewo, patrząc, jak woda w środku marszczy się, tworząc malutkie fale. To, że wstrzymuję oddech, dociera do mnie dopiero wtedy, gdy głośno wypuszczam powietrze z płuc.

Zegar na pustej białej ścianie migocze jaskrawą czerwienią. 21:16. Dzieci są już pewnie w łóżkach. Tom powiedział, że zostanie na noc, w gościnnym pokoju. „Nie martw się – zapewnił, gdy do niego zadzwoniłam. – Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie wrócisz”. Nie tym się martwiłam, ale nie powiedziałam mu tego.

Dom wydaje się taki daleki od tego miejsca. Od dusznego białego pokoju z trzema krzesłami i biurkiem, na którym stoi magnetofon. Zaczynam się zastanawiać, jak długo tu jeszcze będę. Ile mogą mnie trzymać? Kiedy zdecydują co dalej? Od czasu festynu bałam się zostawić dzieci. Zrobiłabym wszystko, żeby otulać je teraz kołdrą do snu, móc wdychać znajome zapachy, przeczytać jeszcze raz bajkę, o którą zawsze tak proszą.

– Nie zatrzymają cię tam, prawda? – zapytał Tom przez telefon.

– Nie, chcę tylko zadać kilka pytań. – Starałam się nie myśleć o tym, że traktuję pobyt na komisariacie tak zwyczajnie. Nie powiedziałam Tomowi, że policjantka spytała, czy chcę, żeby ktoś ze mną był, a ja odmówiłam i zapewniłam, starając się o pogodny ton, że nikogo nie potrzebuję, bo chętnie opowiem wszystko, co wiem.

Palce zaczynają mi drżeć, więc odrywam je od szklanki i chowam pod biurkiem, mocno je zaciskając, żeby krew szybko napłynęła.

– Tak więc, Charlotte... – zaczyna pani detektyw, przeciągając samogłoski. Zapytała, czy może mówić mi po imieniu, lecz nie zaproponowała wzajemności. Wiem, że ma na imię Suzanne, bo powiedziała to do magnetofonu, ale raczej nie oczekuje, że tak się do niej będę zwracać. Przedstawiła mi się przecież jako komisarz Rawlings. Drobną rzecz, a pokazuje, kto tu rządzi.

Czuję, że ściska mnie w gardle, gdy czekam, aż zapyta, co tam robiłam dziś wieczorem. Prawda pod wieloma względami byłaby najlepsza. Zastanawiam się, czy wypuściłaby mnie, żebym mogła wrócić do domu, do dzieci, gdybym ją jej powiedziała.

Przerywa jej pukanie do drzwi. Unosi głowę, żeby spojrzeć na policjantkę, która wsuwa głowę do pokoju.

– Nadkomisarz Hayes jedzie już z Dorset – mówi funkcjonariuszka. – Powinien być za trzy godziny.

Rawlings dziękuje jej skinieniem głowy i drzwi się zamykają. Nadkomisarz Hayes prowadzi sprawę Alice Hodder. Od dwóch tygodni jest on, jak się zdaje, stałym elementem mojego życia, więc zaczynam się zastanawiać, czy będę mnie tu trzymać do jego przyjazdu. Pewnie będzie chciał ze mną porozmawiać. Gdy myślę, że miałabym tkwić zamknięta w tym pokoju przez kolejne trzy godziny, wydaje mi się, że ściany zaczęły się przybliżać. Nigdy dotąd nie miałam klaustrofobii, ale w tym momencie czuję się jak w pułapce, co sprawia, że mam zawroty głowy. Mrugam oczami, żeby odpędzić to złudzenie.

– Wszystko w porządku? – pyta komisarz Rawlings. Jej surowy głos brzmi tak, jakby miała się zirytować, gdybym nie potwierdziła.

Ma farbowane na blond włosy ściągnięte w ciasny koczek, który odsłania ciemne odrosty. Wygląda młodo, najwyżej na trzydzieści lat. Na pełne wargi nałożyła nieco za dużo jaskrawoczerwonej szminki.

Przykładam dłoń do ust, mając nadzieję, że mdłości miną. Kiwam głową i sięgam po szklankę, żeby wypić łyk wody.

– Tak – odpowiadam. – Dziękuję. Wszystko w porządku. Trochę mi tylko niedobrze.

Komisarz Rawlings zaciska czerwone usta i odchyła się na krześle. Nie spieszy się jej. Może i chce sprawiać wrażenie, jakby wydarzenia tego wieczoru zepsuły jej jakieś plany, ale wymowne pauzy zdradzają, że nie ma nic lepszego do roboty.

– A więc... – zaczyna ponownie i zadaje pierwsze pytanie, lecz wcale nie to, którego się spodziewałam – opowiedz mi najpierw, co wydarzyło się trzynaście dni temu. W dniu festynu.

OPOWIEŚĆ CHARLOTTE

WCZEŚNIEJ

Charlotte

Dzwonek odezwał się w sobotę punktualnie o dziesiątej rano. Wiedziałam, że to Harriet, bo nigdy nie spóźniała się nawet o minutę. Wyszłam z łazienki, jeszcze w piżamie, gdy dźwięk dzwonka rozległ się po raz drugi. Odsunawszy zasłonę, żeby sprawdzić, czy to na pewno one, zobaczyłam Harriet, która stała pod drzwiami, obejmując ramieniem swoją córkę. Pochyliła nisko głowę, mówiąc coś do Alice. Dziewczynka pokiwała głową, a potem obróciła się i mocno przytuliła do matki.

Z dołu dobiegły mnie wrzaski moich dzieci. Dziewczynki wzajemnie się przekrzykiwały. Evie zaczęła zagłuszać Molly jednostajnym, przenikliwym piskiem, a ja, zbiegając po schodach, zdołałam usłyszeć, jak Molly wrzeszczy na młodszą siostrę, żeby się zamknęła.

– Przestańcie krzyczeć! – zawołałam, gdy dotarłam na dół. Najstarszy Jack siedział niczego nieświadomy w pokoju zabaw, ze słuchawkami na uszach, skupiony na grze na iPadzie, której Tom nie powinien mu być kupować. Jakże zazdrościłam czasami Jackowi, że potrafi zamknąć się w swoim własnym świecie. Podniosłam Evie z podłogi, otarłam dłonią jej mokrą buzię i zdrapałam resztki pasty Marmite rozsmarowane przy kącikach ust. – Wyglądasz jak Joker.

Evie rzuciła mi gniewne spojrzenie. Choć skończyła trzy lata, nadal przeżywała okres buntu dwulatka. Na szczęście przestała wrzeszczeć, ale za to kopała się ze złości po kostkach.

– Dajcie spokój. Bawcie się ładnie ze względu na Alice – powiedziałam, otwierając drzwi.

– Cześć, Harriet, jak się masz? – Przykucnęłam przy Alice i uśmiechnęłam się do dziewczynki, która nadal chowała twarz w spódnicy matki. – Cieszysz się, Alice, na festyn dzisiaj w szkole?

Nie spodziewałam się odpowiedzi, ale mimo to spróbowałam. Poza tym, gdy tylko Molly weźmie Alice pod swoje skrzydła, ta zacznie biegać za nią jak szczeniak. A moja sześciolatka poczuje satysfakcję, że wreszcie jakieś dziecko wpatruje się w nią jak w obrazek.

– Jeszcze raz dziękuję za dzisiaj – powiedziała Harriet, gdy się wyprostowałam.

Nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Przecież wiesz. Chyba już z milion razy błagałam cię, żebyś pozwoliła mi się zająć Alice. – Uśmiechnęłam się szeroko.

Harriet zaciskała dłoń na szwie spódnicy, zwijając materiał, a potem go prostując. Przez chwilę nie mogłam oderwać oczu od jej palców. Spodziewałam się, że będzie pełna obaw, myślałam nawet, że wszystko odwoła.

– Jesteś pewna? Czwórka dzieci... – zaczęła.

– Harriet – przerwałam jej – z ogromną przyjemnością zabiorę Alice na festyn. Nie martw się, proszę.

Harriet pokiwała głową.

– Posmarowałam ją już kremem przeciwsłonecznym.

– Och. Doskonale. – To znaczyło, że teraz ja będę musiała znaleźć krem dla moich dzieci. Czy w ogóle mam jakiś krem od słońca?

– Cóż, jest taki upał, a nie chciałabym, żeby się poparzyła... – Umilkła, przestępując z nogi na nogę.

– Cieszysz się na dzisiejsze zajęcia, prawda? – zapytałam. – Tylko wcale tego po tobie nie widać. A powinno, bo to dla ciebie świetna rzecz.

Harriet wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie zdziwiona.

– Przecież to tylko kurs księgowości.

– Wiem, ale chciałaś go zrobić. To wspaniale, że masz plany na przyszłość.

Mówiłam szczerze, choć sama najpierw kręciłam nosem, że to tylko księgowość. Próbowałam przekonać Harriet, żeby wybrała raczej ogrodnictwo, bo byłaby doskonałym fachowcem. Wyobrażałam ją sobie, jak jeździ po mieście minivanem, i zapowiedziałam, że zaprojektuję jej stronę internetową. Harriet chyba się zastanawiała, ale w końcu stwierdziła, że ogrodnictwo nie jest tak opłacalne.

– Mogłabyś urządzić mój ogródek – powiedziałam jej wtedy. – Potrzebuję kogoś z nowymi pomysłami. Byłabym gotowa... – Umilkłam nagle, bo właśnie zamierzałam powiedzieć, że zapłaciłabym jej więcej, niż wynosi rynkowa stawka, a przecież wiedziałam, że jeśli chodzi o pieniądze, to nie zawsze dobrze odbierała moje intencje.

– A może zostałabyś nauczycielką? – dokończyłam wtedy. – Byłabyś cudowna. Pamiętasz, jak poradziłaś sobie z Jackiem, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy?

– Musiałabym się dłużej szkolić i nie dostałabym pracy już od września – odpowiedziała, odwracając wzrok. Znałam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że pora ustąpić.

– W takim razie księgowość – powiedziałam z uśmiechem. – W tym też będziesz świetna. – Choć sama wybrałabym inaczej, to jednak Harriet skupiała się na tym, co będzie od września, gdy Alice pójdzie do szkoły, a ona będzie się mogła skoncentrować na czymś innym. Mnie czekały jeszcze dwa długie lata, zanim Evie zacznie szkołę, a ja będę mogła wrócić do czegoś na kształt kariery, a nie pracować tylko dwa dni w tygodniu dla jakiegoś dwudziestokilkuletniego karierowicza, który kiedyś był moim podwładnym.

– Och, nie przygotowałam żadnych przekąsek – powiedziała nagle Harriet.

– W ogóle się tym nie przejmuj. – Machnęłam ręką. – Zjemy coś na miejscu. Komitet rodzicielski stawia przecież przede wszystkim na stoiska z jedzeniem – zażartowałam.

– Racja. – Harriet pokiwała głową, ale się nie uśmiechnęła. Po chwili dodała: – Dam ci jakieś pieniądze.

– Nie – odparłam stanowczo. Miałam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt ostro. – Nie trzeba, ja zapłacę.

– Ale to żaden problem.

– Wiem, że nie. – Uśmiechnęłam się. – Ale proszę, pozwól mi, Harriet. Dziewczynki tak się cieszą, że Alice idzie z nami. Zamierzamy spędzić razem cudowny dzień. Nie martw się o nią – powiedziałam, wyciągając rękę, lecz Alice nie zareagowała.

Harriet pochyliła się i przytuliła córkę, a ja patrzyłam, jak dziewczynka wtula się w matkę. Cofnęłam się o krok, bo poczułam, że powinnam zapewnić im trochę prywatności. Harriet łączyła z córką bardzo silną więź, która wydawała się głębsza niż moje relacje z dziećmi. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że dzisiejszy dzień dla niej też jest trudny. Bo choć Alice skończyła cztery lata, Harriet nigdy dotąd z nikim jej nie zostawiła.

A ja byłam taka uradowana, gdy pierwszy raz zostawiłam Evie na noc u mojej przyjaciółki Audrey, a przecież miała wtedy zaledwie dwa miesiące. Namówiłam nawet Toma, żeby poszedł ze mną do pubu, i choć wróciliśmy do domu już o dziewiętej trzydzieści, a ja przysnęłam na sofie pół godziny później, warto było przespać wreszcie całą noc.

– Kocham cię – szepnęła Harriet we włosy Alice. – Tak bardzo cię kocham. Bądź grzeczna, dobrze? I uważaj na siebie. – Przytrzymała ją w objęciach, jeszcze mocniej zaciskając ramiona. Gdy oderwała się od córki, ujęła jej twarz w dłonie i delikatnie pocałowała w nos.

Czekałam, czując się nieco niezręcznie, aż Harriet się w końcu wyprostuje.

– Chcesz teraz pobawić się z Molly w jej pokoju, zanim pójdziemy na festyn? – zapytałam Alice, a potem zwróciłam się do Harriet: – Mam ci ją podrzucić do domu o piątej, jak ustalałyśmy?

Harriet pokiwała głową.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała, ale nadal nie odchodziła.

– Przestań mi dziękować. – Uśmiechnęłam się. – Jestem przecież twoją najlepszą przyjaciółką, a po to się ma przyjaciół. – Poza tym miałam ochotę zająć się Alice. Harriet pomogła mi wiele razy przez ostatnie dwa lata. – Wiesz, że możesz mi zaufać – dodałam.

Ale chyba obie dotąd odczuwałyśmy niepokój z powodu chłopca, który w październiku zeszłego roku został porwany w parku. Miał dziewięć lat – tyle samo, co wtedy Jack – i wydarzyło się to po drugiej stronie Dorset. Na tyle blisko, żebyśmy wszyscy poczuli zagrożenie. I wciąż nikt nie miał pojęcia, dlaczego zniknął i co się z nim stało.

– Nie martw się – powiedziałam, kładąc rękę na ramieniu przyjaciółki. – Będę jej pilnować.

Harriet wreszcie się cofnęła, a ja wzięłam Alice za rękę i wprowadziłam ją do holu.

– Masz mój numer, jakby co – powiedziała Harriet.

– Gdyby tylko coś się działo, zadzwonię. Na pewno nie będzie takiej potrzeby.

– Brian jest na rybach. Telefon ma ze sobą, ale rzadko odbiera.

– Okej, jakby coś, będę się z wami kontaktować – zapewniłam. I tak nie miałam numeru Briana, po co mi on? Chciałam, żeby Harriet już sobie poszła. Wciąż byłam w piżamie i zauważyłam, że Ray z drugiej strony ulicy ciągle się na mnie gapi, kosząc trawę przed swoim domem w dziwnie powolnym tempie.

– Harriet, spóznisz się – powiedziałam, dochodząc do wniosku, że muszę być wobec niej stanowcza, bo w przeciwnym razie cały dzień spędzi niezdecydowana na moim progu.

Gdy Harriet wreszcie poszła, zamknęłam drzwi i głęboko odetchnęłam. Kiedyś zawołałabym do Toma, że Ray się na mnie gapił, i pośmialibyśmy się z tego. Właśnie w takich najdziwniejszych momentach uderzało mnie to, że nie mam nikogo, z kim mogłabym je dzielić, odkąd się z nim rozstałam.

– Ray przyłapał mnie w piżamie – powiedziałam z uśmiechem do Jacka, który wyszedł z pokoju zabaw.

Spojrzał na mnie i powiedział:

– Przyniesiesz mi sok?

Westchnęłam.

– Nie, Jack. Masz dziesięć lat. Możesz sam sobie wziąć sok i możesz też przywitać się z Alice, bardzo proszę.

Jack spojrzał na Alice, jakby pierwszy raz ją widział.

– Cześć, Alice – powiedział i zniknął w kuchni.

– Cóż, obawiam się, że tyle musi wystarczyć. – Uśmiechnęłam się do Alice, która już wzięła Molly za rękę i szła z nią na górę. – Słuchajcie, idę pod prysznic, a potem jedziemy na festyn – zawołałam, ale nikt mi nie odpowiedział.

Gdy dotarłam do sypialni, okazało się, że dzwoni moja komórka. Na wyświetlaczu widniał numer Toma.

– Umówiliśmy się na siódmą wieczorem – powiedziałam, odebrawszy połączenie.

– Co? – zapytał głośno, przekrzykując uliczny hałas.

Westchnęłam i mruknęłam pod nosem, żeby zamknął cholerny dach w samochodzie.

– Powiedziałam: siódma wieczorem – rzuciłam głośniejszym głosem. – Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, na którą masz przyjść, żeby posiedzieć z dziećmi dziś wieczorem? – Przecież poprosiłam go o to zaledwie wczoraj.

– Właśnie chciałem się upewnić, czy rzeczywiście mnie dziś potrzebujesz.

Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby.

– Tak, Tom, wciąż planuję wieczorne wyjście.

Nieczęsto go prosiłam. Zbyt rzadko wychodziłam. W ciągu dwóch lat od naszego rozstania zdążyłam sobie uświadomić, że nie muszę mu udowadniać, że wciąż świetnie się bawię, zwłaszcza że zwykle wcale tak nie było. W tej chwili czułam się jako singielka na tyle dobrze, by wychodzić tylko wtedy, gdy miałam na to ochotę. Choć, szczerze mówiąc, nie byłam zachwycona perspektywą wieczornego drinka u sąsiadów, nie zamierzałam dać Tomowi satysfakcji zostawienia mnie na lodzie w ostatniej chwili.

– Po prostu coś mi wypadło w pracy. Nie muszę iść, ale byłoby lepiej, gdybym poszedł.

Potałam dłonią oczy i wydałam z siebie bezgłośny jęk. Wiedziałam, jak będzie wyglądał mój wieczór: za dużo wina i niezręczne rozmowy z sąsiadami, z którymi właściwie nic mnie nie łączy. Ale powinnam pójść. Obiecałam im przecież. Zwłaszcza że ostatnio na taką imprezę nie przyszłam. Na jeszcze wcześniejszą też chyba nie.

– Mówiłeś, że masz wolne – powiedziałam stanowczo.

– Wiem. I przyjadę, jeśli naprawdę potrzebujesz. Tylko że...

– Och, Tom – westchnęłam.

– Nie wycofuję się, jeśli mnie potrzebujesz. Sprawdzam tylko, czy rzeczywiście chcesz tam iść, i tyle. Zwykle nie chcesz.

– Tak, chcę – warknęłam, klnąc w duchu, że nadal tak dobrze mnie zna. Nie miałabym tego kłopotu, gdybym skorzystała z niani, ale dzieci uwielbiały, jak się nimi zajmował.

– Okej, okej, będę – powiedział. – O siódmej.

– Dzięki. I przyjeźdź sam – dodałam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Wiedziałam, że nigdy nie zabrałby ze sobą swojej nowej partnerki. Nawet jeszcze nie przedstawił jej dzieciom.

– Charlotte... Wiesz, że nie musisz tego mówić.

– Tylko sprawdzam – odparłam ostro, rozłączyłam się i od razu poczułam wyrzuty sumienia. Nie musiałam tego mówić, bo choć wciąż mnie irytował, był świetnym ojcem. Radziliśmy sobie zaskakująco dobrze.

Wchodząc pod prysznic, starałam się nie myśleć o tym, dlaczego informacje o jego nowym związku wytrącają mnie z równowagi. Przecież nie chciałam, żeby wrócił. Trwające piętnaście lat małżeństwo nie zakończyło się pod wpływem kaprysu, oddalaliśmy się od siebie stopniowo. Może po prostu nie lubię zmian. Może zdążyłam poczuć się zbyt wygodnie z jako tako ułożonym życiem.



Podczas dziesięciominutowej jazdy do szkoły przez nasze miasteczko Chiddenford na przedmieścia miejska zieleń i urocze sklepiki ustępowały miejsca szerokim przestrzeniom niemal wiejskiego krajobrazu. Teren szkoły St Mary's przypominał szkoły prywatne. Po drugiej stronie drogi rozciągało się ogromne, otoczone zielenią boisko.

To właśnie tutaj pierwszy raz spotkałam Harriet, pięć lat temu, gdy pracowała jako asystent nauczyciela. Zawsze myślałam, że pośle Alice do tej szkoły, ale dojazd z ich domu to był prawdziwy koszmar. Szkoda, bo Alice na pewno czułaby się pewniej, mając towarzystwo Molly, która była dwie klasy wyżej.

Musiało być dobrze po dwunastej, gdy wreszcie dotarliśmy na festyn i utknęliśmy w długiej kolejce aut podjeżdżających na odgrodzony skraj boiska, na którym urządzono tymczasowy parking.

Przy ozdobionym kolorowymi chorągiewkami wjeździe ruchem kierowała Gail Turner, zupełnie jakby była dyrektorką szkoły, a nie przewodniczącą rady rodziców. Gdy mnie zobaczyła, dała znak, żebym opuściła szybę. – Cześć, skarbie, ależ nam dopisała pogoda! – zawołała przez uchylone okno, błyskając w uśmiechu bielą zębów. – Czuję się jak szczęściara.

– To rzeczywiście fart, Gail – powiedziałam. – Możemy zaparkować gdziekolwiek? – Terenówki i rodzinne vany, jak mój, były już upchnięte tak ciasno, że wyjazd mógł potem sprawić kłopoty. – Skąd taki ruch?

– Dobry marketing – rozpromieniła się. – Postarałam się porozmawiać ze wszystkimi rodzicami i upewnić się, że przyjdą.

– To gdzie zaparkować? – zapytałam, posyłając jej cierpliwy uśmiech.

– Chwileczkę, skarbie, sprawdzę, czy mam jeszcze wolne miejsce dla VIP-ów. – Odwróciła się, a ja przewróciłam oczami, zerkając na Jacka, który siedział obok mnie. Gail znów zajrzała do nas przez okno i wskazała miejsce na odległym krańcu parkingu. – Podjedźcie tam. – Uśmiechnęła się. – Nikt was nie zablokuje.

– Dzięki, Gail – powiedziałam, powoli ruszając. Przyjaźń z nią miała swoje plusy.

To będzie rekordowo gorący dzień jak na maj, oznajmili rano w radio. Gdy wysiadłam z samochodu, różowa sukienka, którą wyciągnęłam z szafy, już zaczęła uwierać mnie pod pachami, pożałowałam też, że nie założyłam kłapek. Zebrałam włosy w kucyk i przegrzebałam torebkę w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Przetarłam rysę na jednej z szybek, zanim je założyłam, obiecując sobie, że zajmę się tą sprawą po powrocie do domu. „Nie powinnaś wrzucać na dno torby okularów Oakley za sto pięćdziesiąt funtów” – westchnęła kiedyś Audrey. Zgadzałam się z nią, tylko nigdzie nie mogłam znaleźć etui.

– Mamusiu, muszę do toalety – zawołała Evie, gdy tylko dotarliśmy na boisko.

– Och, Evie, chyba żartujesz – mruknęłam, uwalniając sukienkę z jej dłoni. – I nie ciągnij mnie za ubranie, skarbie. – Poprawiłam górę sukienki i sprawdziłam, czy nie widać biustonosza. – Przecież już cię o to prosiłam.

– Ale ja muszę. Mogę pójść sama.

– Nie, Evie, nie możesz – westchnęłam. – Masz trzy lata.

– Pójdę z Jackiem.

Odwróciłam się do syna, który włókł się z tyłu, z wzrokiem wlepionym w iPada i mocno zmarszczonymi brwiami, bo koncentrował się na walce ze smokami. Jack miał dziesięć lat i był mistrzem w operowaniu ekranem dotykowym w ramach zwalczania rozmaitych zagrożeń. Wiedziałam, że nie powinnam pozwalać mu spędzać tyle czasu z elektroniką. Uświadomiono mi, że nie sprzyja to niezbędnemu rozwojowi umiejętności społecznych, ale z drugiej strony wiedziałam, że mój syn jest najszczęśliwszy, gdy przebywa w swoim własnym świecie.

Był taki podobny do Toma, z tymi gęstymi, ciemnymi włosami i zmrużonymi w skupieniu oczami. Uśmiechnęłam się, choć nawet tego nie zauważył, a gdy odwróciłam się z powrotem do Evie, uświadomiłam sobie, że straciłam z oczu starsze dziewczynki.

– Gdzie są Molly i Alice? Przecież przed chwilą tu były. Evie? – zawołałam. – Dokąd poszły Molly i Alice?

Evie wskazała tłusciutkim paluszkami na stoisko z ciastkami:

– Tam.

Odetchnęłam, gdy dostrzegłam je, zapatrzone w bogato dekorowane babeczki. Mamy dostarczyły je w ilościach iście hurtowych. Moja córka mocno obejmowała ramieniem Alice i mówiła coś do niej, wskazując na ciastka, jakby zaraz miała po któreś sięgnąć.

– Dziewczynki! Nie oddalajcie się ode mnie! – zawołałam.

Rzeka ludzi przelewała się między stoiskami, a Molly i Alice natychmiast zniknęły za jakąś rodziną – wielkim ojcem w T-shircie z napisem „Los Pollos Chicken” i równie dużą żoną, wpychającą sobie właśnie donuta do ust. Przecisnęłam się do stoiska z babeczkami, zerkając między dzieciaki ciągnące za tamtą parą.

– Molly! Wracajcie tutaj, natychmiast. – Dziewczynki w końcu się pokazały. Tymczasem Evie dreptała w miejscu i znowu ciągnęła mnie za sukienkę.

– Możemy pójść po watę cukrową? – zapytała Molly. – Umieram z głodu.

– A ja naprawdę muszę siusiu, mamo! – zawołała Evie, tupiąc odzianą w różowy bucik stópką. – Faj, mam błoto na nodze – krzyknęła, otrzepując stopę i kopiąc mnie przy okazji.

– To tylko odrobina ziemi, a poza tym mówiłam ci, że te buciki nie są dobre do chodzenia po trawie – odparłam, czyszcząc z ziemi jej bucika i swoją łydkę. – I uważaj, co robisz, Evie. Przecież mnie kopnęłaś.

– Jestem brudna! – wrzasnęła Evie, rzucając się na ziemię. – Muszę siusiu! – Rozejrzałam się wokół, modląc się, by nikt nie patrzył. Kilka mam zerknęło w naszym kierunku, ale szybko się odwróciły. Czułam, że się rumienię, gdy zastanawiałam się, czy odejść kilka kroków, zostawiając wijącą się na ziemi Evie, czy jednak poddać się i podnieść ją, zachowując twarz.

– Och, Evie – westchnęłam. – Pójdziemy za tamto drzewo. – Wskazałam w stronę skraju boiska.

Oczka Evie pojaśniały.

– Ale bądź cicho. Staraj się nie zwracać na siebie uwagi – powiedziałam, ciągnąc ją w stronę drzewa. – A potem pójdziemy po watę – zawołałam do reszty z tyłu. – I poszukamy dmuchanego zamku, chcecie? – zapytałam, ale nawet jeśli któreś mi odpowiedziało, nic w tym hałasie nie usłyszałam.

Choć czułam nadchodzącą migrenę, przy stoisku z watą cukrową zamówiłam sobie kawę. Nie wypadało sięgać po lemoniadę z likierem Pimm's, skoro miałam pod opieką czwórkę dzieci. Kawa musiała wystarczyć. Rozejrzałam się i pomachałam do znajomych, których dostrzegłam w oddali. Audrey szła przez boisko chybliwym krokiem, bo założyła sandaalki na niebotycznie wysokich szpilkach. Włosy zaczesła wysoko nad czołem, na ramiona zarzuciła szal, a z tyłu za nią powiewała długa satynowa spódnica. Ubrała się nieodpowiednio, i to zarówno ze względu na pogodę, jak i na szkolny festyn, ale się tym nie przejmowała. Odmachała do mnie, krzywiąc się i wskazując na wszystkie skupione wokół mnie dzieci z udawanym przerażeniem. Wzruszyłam ramionami, sugerując, że wcale mi nie przeszkadza, że mam ich tyle pod opieką.

Zobaczyłam Karen i uśmiechnęłam się pod nosem, gdy stanęła przed namiotem z piwem, desperacko wymachując rękoma. Bez wątpienia starała się zwrócić uwagę swojego męża, który najprawdopodobniej próbował się gdzieś ukryć, ale nigdy mu się to na dłużej nie udawało.

– To co, teraz dmuchany zamek? – zapytałam, gdy już każde z dzieci radośnie skubało lepiącą się różową watę. Ruszyliśmy w kierunku oddalonego skraju boiska, gdzie dostrzegłam czubek nadmuchiwanej zjeżdżalni. – Zobaczcie, jaki tamten jest wielki.

– Wolałabym pójść na ten! – Molly aż wytrzeszczyła oczy, gdy wskazała zamek, który stał na samym krańcu boiska. Był jaskrawozielony, z dmuchanymi palmami na szczycie i napisem „Jungle Run” z boku. Molly podbiegła, żeby zajrzeć przez ażurowe okno, a Jack tym razem wręcz deptał jej po piętach.

– Wspaniały – zawołała. – Chodź zobaczyć, Alice. – Alice posłusznie podeszła i zajrzała przez okienko. Poczułam jak zwykle przyływ czułości wobec Alice, która zawsze godziła się z decyzjami podjętymi przez innych, choć czasem żałowałam, że nie zabiera głosu i nie mówi, co chciałaby robić. Często nie wiedziałam nawet, czy jest zadowolona, czy po prostu nie ma dość pewności siebie, żeby wyrazić swoje zdanie.

– Możemy na niego wejść? – zapytał Jack.

– Tak, oczywiście, że tak. – Ja byłabym nim zachwycona, gdybym była dzieckiem i śmigała po nim z siostrą w tę i z powrotem.

Alice cofnęła się i spojrzała na mnie.

– Nie musisz wchodzić, jak nie masz ochoty – powiedziałam.

– Oczywiście, że chce, prawda, Alice? – odezwała się Molly.

– Molly, daj Alice zdecydować samej. – Wyciągnęłam portfel, żeby odliczyć drobne. – Czy wolisz zostać ze mną? – zapytałam Alice.

– Ja nie idę – wtrąciła się Evie. – Wolę zjeżdżalnię.

– Ty też wolisz pójść na zjeżdżalnię z Evie?

– Nie, zostanę z Molly – odpowiedziała cicho, a ja uświadomiłam sobie, że to były pierwsze słowa, które tego dnia do mnie wypowiedziała.

– Dobrze, tylko trzymajcie się cały czas razem. Jack, pilnuj dziewczyn, dobrze? – zawołałam za nim, choć raczej mnie nie usłyszał. Już biegł do wejścia na tyłach zamku.

Przekazałam opłatę jednej z mam, której nie znałam, a gdy się odwróciłam, już ich nie było.

– Chodźmy, mamo. – Evie znów ciągnęła mnie za sukienkę.

– Pięć minut, Evie – powiedziałam. – Pobawią się tutaj pięć minut, a potem pójdziemy na zjeżdżalnię. – Chciałam usiąść na chwilę w cieniu. W głowie zaczynało mnie łupać, kawa nic nie pomogła. – Chodź, popatrzmy, jak przygotowują pokaz magików, a potem zjeżdżalnia.

Evie była tak zaabsorbowana oglądaniem magika, że na chwilę ucichła. Odruchowo wyjęłam z torebki telefon, żeby sprawdzić wiadomości. Przeczytałam SMS-a od sąsiadów w sprawie wieczornej imprezy. Prosili wszystkich o wchodzenie od ogrodu, żeby nie obudzić ich dziecka.

Zajrzałam do poczty, a potem włączyłam Facebooka. Mignął mi jakiś idiotyczny quiz, a potem zaczęłam przesuwając posty i dałam się wciągnąć w cudze życie.

Oderwałam wzrok od komórki i zobaczyłam, jak dzieci zsuwają się po zjeżdżalni zamku, a potem znowu biegną na drugi koniec, zanim ktokolwiek zdążył im powiedzieć, że skończył im się czas. Skomentowałam zdjęcie przyjaciółki z wakacji, a u siebie dodałam wpis, że korzystam z ładnej pogody na szkolnym festynie.

Wreszcie wstałam, powiedziałam Evie, że możemy już iść na zjeżdżalnię, i ruszyliśmy w stronę zamku. Roześmialiśmy się, widząc, jak Jack przechyla się przez krawędź i zsuwa w dół na plecach.

– Ale ekstra – zawołał, a potem wstał i podbiegł do nas.

Objęłam go i przyciągnęłam do siebie. Choć ten jeden raz nie wyczułam u niego napięcia.

– Cieszę się, że ci się podobało. Gdzie dziewczynki?

Jack wzruszył ramionami.

– Och, Jack. Przecież mówiłam ci, żebyś ich pilnował.

– Powinny były się mnie trzymać – odparł wyniośle.

Spojrzelśmy na Molly, która też rzuciła się przez krawędź zjeżdżalni i błyskawicznie zsunęła na dół.

– Ha, przegoniłem cię o kilometr – roześmiał się Jack.

– To dlatego, że popchnąłeś mnie na początku. Mamo, on mnie przewrócił.

– Nic ci nie będzie – odpowiedziałam, rozmasowując jej łokieć. – Gdzie Alice?

– Była tuż za mną.

– Ale jej nie ma, Molly. Pewnie gdzieś utknęła i może się przestraszyła. Niech któreś z was po nią pójdzie.

– Ja pójdę – rzucił Jack i już biegł wokół zamku, żeby jeszcze raz zjechać.

– Ja też. – Molly zniknęła równie szybko. Znowu straciłam oboje z oczu. Czekałam. Rozglądałam się po boisku, dziwiąc się, że jest taki tłum. Znowu zobaczyłam Audrey, ale była za daleko, żeby do niej wołać. Powinnam zapytać ją, czy będzie mogła podwieźć Jacka w poniedziałek na piłkę, więc będę musiała jej później poszukać.

Jack znowu pokazał się na szczycie zjeżdżalni.

– Nie ma jej tutaj – zawołał, przechylił się przez krawędź i wylądował u moich stóp.

– Jak to jej nie ma?! Oczywiście, że tam jest.

Wzruszył ramionami.

– Ja jej nie widziałem. Przeszedłem cały zamek, ale jej tam nie ma.

– Znalazłaś Alice? – zawołałam do Molly, która też pojawiła się na zjeździe. Pokręciła głową. – Musi tu być. Przecież nie zniknęła. Będziesz musiał pójść jeszcze raz, Jack – powiedziałam, popychając go przed sobą na tył zamku. – I tym razem postaraj się ją znaleźć.

Harriet

Na początku kursu kazano wszystkim uczestnikom wyłączyć komórki. Harriet rozejrzała się i zdziwiła, że nikt inny nie ma wątpliwości, tylko klikają telefony i beztrako wrzucają je do kieszeni czy toreb. Chyba są tu też jacyś ludzie z dziećmi?

Oczywiście Harriet wiedziała, że to raczej nietypowe i że jej wewnętrzna reakcja na wyłączenie telefonu graniczy z neurozą. Ale ja nigdy dotąd z nikim córki nie zostawiłam – pomyślała. – Jak mogą oczekiwać, że wyłączę możliwość skontaktowania się ze mną, gdy ktoś inny zajmuje się Alice?

W końcu postanowiła tylko wyciszyć telefon i ułożyła go na wierzchu w torebce, żeby sięgnąć, gdyby tylko ktoś zadzwonił albo przesłał wiadomość. Po tej decyzji poczuła ulgę, że udało się jej rozwiązać problem. Wyciągnęła notatnik i położyła go przed sobą, gotowa do robienia notatek.

Słuchając prowadzącej zajęcia Yvonne, która wtajemniczała ich w świat księgowości, Harriet pomyślała, że może jednak powinna była posłuchać Charlotte i zająć się czymś, co ją interesowało. Przyjaciółka w sumie miała rację: Harriet byłaby świetną nauczycielką i miło byłoby wykorzystać do czegoś dyplom z anglistyki. Ale tu chodzi o pieniądze, przypomniawszy sobie, próbując się skupić.

Minuty mijały powoli, przechodząc w godziny, aż wczesnym popołudniem Harriet miała wrażenie, jakby spędziła w tej małej salce większość swojego życia. Było okropnie duszno, zbyt ciasno, nie dało się oddychać. Wachlując się notatnikiem, pomyślała, że Yvonne powinna otworzyć okno, ale prowadząca najwyraźniej nie dostrzegła jej narastającego dyskomfortu. Harriet poczuła skurcze w prawej nodze i choć wkrótce miała być kolejna przerwa, zaczęła się zastanawiać, czy nie uciec do łazienki i nie schłodzić sobie czoła zimną

wodą. Wtedy mogłaby znowu zajrzeć do komórki. Wpadła jej głębiej do torebki i nie mogła bez robienia zamieszania sprawdzić, czy ma jakieś nieodebrane połączenia.

Podjąwszy nagłą decyzję, chwyciła torebkę i przecisnęła się obok kursantów przy sąsiednim stoliku. Z nisko opuszczoną głową wyszła z pokoju na przestronny, przewiewny korytarz. Od razu poczuła, że łatwiej się jej oddycha.

– Ty też masz dosyć? – odezwał się za nią czyjś głos.

Harriet odwróciła się i zobaczyła młodą dziewczynę z kursu, która też wyszła z salki.

– Słucham?

– Ja mam dosyć. Tam jest za gorąco, nie uważasz?

– Owszem.

– I nudno. – Dziewczyna zachichotała. – Więc spadam. – Spojrzała na Harriet, przesuając wzrok na jej usta.

Zmieszana Harriet odruchowo otarła wargi, ale dziewczyna nadal gapiała się na nią spod gęstych sztucznych rzęs, prawie nie mrugając.

– Nie mogę słuchać tej baby, Yvette, ani sekundy dłużej – kontynuowała.

– Yvonne. – Harriet nie mogła się powstrzymać.

– Wszystko jedno. – Tamta wzruszyła ramionami. – Ty też powinnaś stąd iść, chyba że ci się podoba. – Drgnęły jej kąciaki warg.

Nie, Harriet się nie podobało, ale wiedziała, że za nic by stąd nie wyszła, dopóki zajęcia się nie skończą.

Dziewczyna uśmiechnęła się pogardliwie, ruszyła korytarzem i zniknęła za rogiem. Harriet weszła do toalety.

Odetchnęła głęboko, chłodząc sobie zimną wodą nadgarstki, i spojrzała w lustro. Miała czerwone od gorąca policzki i plamy na szyi. Kosmyki włosów wysunęły się z koka, a gdy je chowała, dostrzegła siwe pasemka przy przedziałku.

Zmarszczyła brwi. Miała trzydzieści dziewięć lat i szybko się starzała. Nic z tym jednak nie robiła. Nie malowała się, nie chodziła do fryzjera. Charlotte zawsze jej podpowiadała, gdzie może podciąć włosy, ale trzydzieści pięć funtów to spory wydatek. Może odrobina tuszu podkreśliłaby jej rzęsy i sprawiła, że wyglądałaby na mniej zmęczoną? Strój też nie pomagał. Właściwie miała tylko szare albo ciemnobrązowe ubrania. Pożyczyła kiedyś od Charlotte jedną z jej apaszek, jaskraworóżową, i owinęła ją wokół szyi dla ochrony przed chłodem w parku. Nie mogła uwierzyć, jak wiele to zmienia.

Gdy ochłonęła, wyjęła telefon z torebki i włączyła go. Ekran pozostał ciemny, więc nacisnęła boczny przycisk, ale to też nic nie dało.

– Tylko nie to – mruknęła, czując skurcz żołądka. Naciskała i naciskała, ale ekran się nie rozświecił. Musiała się rozładować bateria, choć nie miała pojęcia, jak to się stało. Podłączyła komórkę na noc do prądu, jak zawsze, gdy kładła się spać. Pamiętała o tym, bo wiedziała, że będzie dziś potrzebować telefonu bardziej niż kiedykolwiek.

A może zapomniała?

Nie, z całą pewnością nie zapomniała. Postanowiła podłączyć ją, zanim zrobi sobie herbatę do łóżka. Pamiętała, bo sprawdziła raz jeszcze przed wyjściem z kuchni. A mimo to telefon był rozładowany.

Wrzuciła komórkę do torebki. Nie miała pojęcia, co dzieje się na festynie, i nikt nie miał możliwości, żeby się z nią skontaktować. Przeszkoda była tak głupia, że omal się nie rozpłakała.

Z trudem przełknęła łzy. Źle się czuła, będąc daleko od Alice. Dosłownie kłuło ją w sercu, ale nikt tego nie rozumiał. Harriet nauczyła się więc ukrywać, jak bardzo pragnie być przy córce, jak nienawidzi samej myśli o tym, że straci ją z oczu. Widziała, jak przyjaciółki Charlotte zerkają na siebie, gdy przyznała, że nigdy dotąd nie spędziła wieczoru bez męża i córki.

– Da sobie bez ciebie radę – mówiła Charlotte. – Czy Brian nie chciałby spędzić z tobą wieczoru sam na sam? – Harriet próbowała sobie wyobrazić, co Brian powiedziałby, gdyby coś takiego zaproponowała. Chyba byłby podekscytowany.

– Albo zostaw ją z Brianem i wyjdź gdzieś z dziewczynami – nalegała Charlotte.

Nie wyobrażała sobie ani jednego, ani drugiego, więc nie dawała po sobie poznać, co czuje, bo sama sobą za to pogardzała. Nikt nie zdawał sobie sprawy, ile kosztowało ją zostawienie dziś Alice u Charlotte. Ale Charlotte tak się ucieszyła, że Harriet poprosiła o to ją, więc nawet jej nie powiedziała, że nie ma przecież nikogo innego.

– Pewnego dnia trzeba je wypuścić – powiedziała jej kiedyś jakaś kobieta w sklepie. – Pewnego dnia wyrastają im skrzydła i odlatują. Jak motyle – dodała, machając rękoma. Harriet miała ochotę przycisnąć je do jej boków.

Alice będzie chciała kiedyś odlecieć, tak jak i ona zrobiła. Jej matka bardzo jej pilnowała, za bardzo, więc Harriet doskonale wiedziała, jakie to może być destrukcyjne. Obiecała sobie, że nie będzie taka wobec swoich dzieci, a mimo to taka właśnie była. W którymś momencie stała się matką, jaką nigdy nie chciała być.

Powinna zapomnieć o komórce, wrócić do sali i przecierpieć do końca zajęć. To nieważne, powiedziała swojemu odbiciu w lustrze. To jeszcze tylko – zerknęła na zegarek – najwyżej dwie godziny i będzie w domu o wpół do piątej, jak planowała.

Chyba że się wymknie, jak tamta dziewczyna.

Zastukała palcami o krawędź umywalki. Naprawdę powinna nauczyć się podejmować proste decyzje.

Charlotte

Gdy zajrzałam przez ażurowe okno dmuchanego zamku, zobaczyłam tylko krzyczące i przepychające się dzieci, które były tak podekscytowane, że nawet nie zauważały, że depczą po sobie nawzajem. Alice mogła przykucnąć gdzieś w kącie, a większość dzieci nawet by jej nie dostrzegła. Musiałam wejść do środka sama – nie mogłam liczyć na to, że Jack dobrze jej poszuka.

– Chodźcie, dziewczynki – powiedziałam, starając się o spokój. – Sprawdzimy, gdzie się podziała Alice. – Chwyciłam je za ręce, a gdy biegłyśmy na tył zamku, pomyślałam, że nie martwiłabym się tak, gdyby to było któreś z moich dzieci. Lubiły się przede mną chować albo gdzieś się samodzielnie wybrać. Ale Alice? Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Była w niej jakaś wyjątkowa kruchość, której nie dostrzegałam w innych znajomych dzieciach. A zgubienie cudzego dziecka to już w ogóle coś niewyobrażalnego.

Pięć metrów za wejściem do zamku ciągnął się płot, który oddzielał boisko od terenów zielonych. Za linią drzew kryło się pole golfowe. Zsunęłam buty, wzięłam je do ręki i wpęzłam do środka, a dziewczynki były tuż za mną.

Wołałam Alice, gdy wspinałyśmy się na rampy i czołgałyśmy się tunelami. Przyglądałam się każdemu dziecku, licząc na to, że mignie mi gdzieś jej czerwona sukienka.

– Gdzie ona może być? – zawołałam do Jacka, który czekał przy końcu. Wzruszył tylko ramionami, a ja mało eleganckim ruchem przerzuciłam nogę przez krawędź zjeżdżalni i odepchnęłam się. Potem wyciągnęłam ręce do Evie, która chichotała za mną, absolutnie zachwycona, że weszłam do zamku razem z nią.

– Boże, to idiotyczne. – Rozejrzałam się wokół, wsunęłam buty i zwróciłam się do dzieci: – Mówiła coś o tym, że wołałaby pójść gdzie indziej? Wspomniała może o magikach? – Nie widziałam, żeby wchodziła do tamtego namiotu, ale może zgubiła się gdzieś po drodze. – Na pewno bym ją zauważyła – mruknęłam sama do siebie.

– Molly, czy jesteś pewna, że ona weszła za wami do środka? – zapytałam wyższym o oktawę głosem, wskazując na zamek.

– Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

– No... – Zawahała się. – Wydaje mi się, że za mną weszła.

– Ale nie jesteś tego pewna? – zapytałam, starając się nie podnosić głosu.

Molly potrząsnęła głową. Podeszłam do kobiety, która zbierała pieniądze, a teraz wymieniała z inną matką uwagi na temat stoiska z ciastkami.

– Mała dziewczynka weszła tutaj z moimi dziećmi. – Przerwałam im. – Mniej więcej dziesięć minut temu, ale nigdzie jej nie ma.

– Och? – Wątpiłam, by się orientowała, które dzieci weszły, a które wyszły. Ledwo uniosła głowę, gdy kładłam drobne na jej wyciągniętej dłoni. – Przykro mi, ale nie mam pojęcia – powiedziała. – Jak wyglądała?

– Mniej więcej tego wzrostu. – Uniosłam dłoń w okolice czubka głowy Molly. Alice była wysoka jak na swój wiek. – Ale ma tylko cztery lata. Ma na sobie czerwoną sukienkę z białym paskiem.

Kobieta pokręciła głową, a jej towarzysza obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Nie, przykro mi – powiedziała. – Nie pamiętam, żebym ją widziała. Ale będę się rozglądać.

– O Boże. – Zrobiło mi się niedobrze. To nie mogło się dziać.

– Co robimy? – Jack patrzył na mnie, obgryzając skórę przy paznokciu kciuka w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie martwił się. Czemu miałby się martwić? Założył, że rozwiążę problem, a jak już znajdziemy Alice, zajmiemy się kolejną rozrywką.

– Szukamy jej. – Wzięłam dziewczynki za ręce. – Przeszukamy całe boisko. Ona musi tu gdzieś być. – Ale gdy ruszyłyśmy, czułam, że mam przyspieszone tętno. Jack szedł tuż za nami. Przedzieraliśmy się przez tłum na boisku w kierunku parkingu. Im więcej czasu mijało, tym szybciej biło mi serce.

Zatrzymywaliśmy się przy każdym stoisku, zaglądaliśmy pod ustawione na kozłach stoły, rozglądaliśmy się w tłumie. Cały czas wołałam imię Alice z różnym natężeniem paniki w głosie. Minęliśmy basen do łowienia kaczek na wędkę, bramkę do strzelania goli otoczoną wianuszkami tatusiów, którzy wiwatowali, gdy któryś z nich spudłował. Loterię z fantami i znowu stoisko z ciastkami. Gdy mijaliśmy kolejne stoiska, coraz mocniej ścisnęłam dłonie dziewczynek i raz po raz oglądałam się, żeby sprawdzić, czy Jack za nami idzie.

Zatrzymałam się tuż za stoiskiem z ciastkami i zawołałam do mamy dziecka z rocznika Molly, która obsługiwała stoisko z zabawkami:

– Widziała pani może małą dziewczynkę? Jasne włosy do ramion. Czerwona sukienka. – Mój głos zabrzmiał donośniej, niż chciałam.

Pokręciła głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Gdzie pani szukała?

– Wszędzie! – zawołałam, czując, że zaczyna mi brakować tchu.

Przez moment nie byłam w stanie się ruszyć. Czułam, że trzęsą mi się ręce. Nieświadomie zaciskałam je na dłoniach dziewczynek tak mocno, że Molly krzyknęła, próbując się wyswobodzić. Musiałam coś zrobić, ale co? Ogłosić zaginięcie? Zadzwonić na policję? Już nie pamiętałam dokładnie, kiedy ją ostatnio widziałam. Czy w takich sytuacjach nie liczy się każda sekunda?

– Niech pani spróbuje ogłosić to przez megafon – zasugerowała mama dziecka z rocznika Molly, jakby czytając w moich myślach.

Spojrzałam na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Bo nie chciałam tego robić. To byłoby potwierdzenie, że sprawa jest poważna. Przyznałabym, że zgubiłam dziecko. Na dodatek cudze dziecko.

– Charlotte? – Ktoś złapał mnie za ramię, a ja obróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z Audrey.

– O Boże, Aud... – Puściłam rączki dziewczynek i przyłożyłam dłonie do ust. – Zgubiłam Alice. Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

– Spokojnie – powiedziała, odruchowo się rozglądając. – Nie panikuj, na pewno gdzieś tutaj jest.

– Co mam robić? Obeszłam już całe boisko. – Chciałam, żeby Audrey mi powiedziała. Chciałam, żeby rozwiązała problem w typowy dla siebie, konkretny sposób.

– Znajdziemy kogoś, kto tym zarządza – powiedziała. – Może będą mogli zamknąć wyjścia. – Spojrzała w stronę parkingu, a ja popatrzyłam w ślad za jej wzrokiem. Wciąż wił się tam sznur samochodów. Na festynie panował coraz większy ruch.

– Ale kto to mógłby być? – Nikogo tam nie było. W ogóle nie widziałam dyrektora, pana Harrisona, z megafonem. Powinien być tutaj dzisiaj, zawsze brał udział w festynie. Ale nikt poza Gail nie pilnował porządku, nikt nawet nie stał przy wyjściach na parking ani nie patrolował granic boiska. Alice mogła udać się w dowolnym kierunku. Dokąd jej się spodobało. Czy to właśnie zrobiła na tyłach dmuchanego zamku? Czy z jakiegoś powodu wspięła się na płot i ruszyła w stronę pola golfowego?

– Zaginęła mała dziewczynka! – zawołała Audrey do otaczającego nas tłumu. – Niech wszyscy się rozejrzą. – Zwróciła się do mnie. – Może powinniśmy powiadomić policję.

Pokręciłam tylko głową. Podeszło do nas kilka mam.

– Co się dzieje, Charlotte? – zapytała jedna z nich. – Kto wam zaginął?

– Cóрка mojej przyjaciółki. – Rozpłakałam się. Przycisnęłam dłonie do policzków, zasłaniając palcami oczy. – Alice. Ma na imię Alice. Ma tylko cztery lata. O, Boże, to nie może być prawda.

– Już dobrze – powiedziała, biorąc mnie za rękę i odrywając je w końcu od mojej twarzy. – Wszyscy będziemy szukać. Nie martw się, znajdziemy ją. Jak długo jej nie ma?

– Nie wiem – odpowiedziałam. Serce mi łomotało, gdy próbowałam przypomnieć sobie, ile czasu minęło, odkąd ją ostatni raz widziałam. – Jakieś dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut? – zapytała.

– Okej – wtrąciła się Audrey. – Dzwonię na policję.

Wieść o zaginionym dziecku szybko się rozniosła. Tam, gdzie docierała, tłum ożywał, bo wszyscy zaczęli się nagle rozglądać. Groza niebezpieczeństwa, pomruk ekscytacji, bo każdy mógł odegrać rolę w poszukiwaniach i każdy pragnął bez wątpienia być tym, kto wykrzyknie, że jest tutaj, schowała się na ich stoisku.

Wątpiłam, by ktokolwiek wyobrażał sobie najgorsze. Dzieci się gubią i zaraz potem odnajdują, a przerażeni rodzice wylewnie dziękują temu, kto miał to szczęście, że akurat natknął się na zgubę.

Oszołomiona dałam się Audrey wyprowadzić na skraj boiska przy parkingu, gdzie umówiła się z policją.

Oparłam się plecami o płot. Oślepiające słońce mocno prażyło. Ludzie przed oczyma zaczęli mi się rozmazywać, a gdy zamrugałam, żeby wyostrzyć wzrok, poczułam falę mdłości.

– Napij się wody. – Audrey wcisnęła mi butelkę w dłoń, a ja pociągnęłam spory łyk. – I na litość boską, przesun się w cień. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć – powiedziała, popychając mnie w stronę drzewa. – Alice się znajdzie – kontynuowała. – Po prostu gdzieś odbiegła i się zgubiła.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Przecież w Chiddenford nic złego się nie dzieje. Nie w takim spokojnym miasteczku w Dorset. – Ale nie sądzę, żeby Alice gdzieś odbiegła.

– Wszystkie dzieci to czasem robią – odparła Aud. – Alice jest taka sama jak wszystkie czterolatki.

Ty jej nie znasz, pomyślałam. Alicja jest inna. Audrey nigdy jej tak naprawdę nie poznała, bo przede wszystkim nigdy nie poświęciła czasu, by z nią porozmawiać. Podobnie jak z Harriet.

– Powinnam zadzwonić do Harriet – powiedziałam, gdy zebrałam dzieci, a one grzecznie usiadły na trawie.

– Jeszcze raz opowiedz mi, co się stało.

– Nie wiem, co się stało. Alice po prostu zniknęła. Podeszła z tyłu do zamku i potem nie zjechała. Co ja powiem Harriet? – Napiłam się znów wody. – Aud, nie mogę jej powiedzieć, że zgubiłam jej córkę! – Podniosłam głos.

– Postaraj się uspokoić – powiedziała, przytrzymując mnie za ramiona i obracając tak, by popatrzeć mi w oczy. – Oddychaj powoli. No już. Jeden, dwa... – Zaczęła powoli liczyć, a ja złapałam rytm. – Alice wkrótce się znajdzie, wiem, że tak będzie, więc nie ma na razie sensu niepokoić Harriet. A poza tym – zerknęła nad moim ramieniem – policja już tu jest.

Audrey wskazała głową drogę, a ja odwróciłam się, by spojrzeć na oznakowany radiowóz, który zaparkował wzdłuż boiska obok wejścia na parking. Dwoje umundurowanych funkcjonariuszy wysiadło z samochodu, a gdy ruszyli w naszą stronę, po raz kolejny wstrząsnęła mną powaga sytuacji. Teraz to już oficjalne. Alice zaginęła.

Posterunkowy Fielding przedstawił siebie i swoją koleżankę, posterunkową Shaw. Zapytali, czy nie chcę gdzieś usiąść, ale pokręciłam głową. Chciałam tylko, żeby jak najszybciej zrobili to, po co przyjechali.

– Charlotte, czy może nam pani powiedzieć, co się wydarzyło? – zapytał Fielding.

– Dzieci bardzo chciały iść do dmuchanego zamku – odpowiedziałam, wskazując na odległy kraniec boiska, gdzie stał zamek z labiryntem. – Oprócz mojej młodszej córki, Evie, bo ona wolała zwykłą dmuchaną zjeżdżalnię, pozostała trójka poszła do zamku – dodałam, choć wiedziałam, że Alice nie była zachwycona.

– I widziała pani, jak cała trójka tam weszła?

Potrząsnęłam głową.

– Szybko podbiegli do zamku od tyłu, a wejścia nie było widać.

– Więc nie obeszła pani zamku, żeby sprawdzić? – zapytał, leciutko unosząc brew, gdy przyglądał mi się sponad grubej oprawki okularów.

– Nie. – Poczułam, że brakuje mi powietrza. – Nie zrobiłam tego – powiedziałam. – Założyłam, że wejdą, bo bardzo chcieli.

Policjant pokiwał głową i zapisał coś w notatniku. Sięgnęłam dłonią do szyi i zaczęłam się drapać, bo swędziało mnie od gorąca.

– Oczywiście teraz żałuję, że tego nie zrobiłam – dodałam. – Ale nie przyszło mi to do głowy, bo nigdzie indziej nie mogli stamtąd pójść... – Urwałam. Oczywiście, że teraz żałowałam. Żałowałam po stokroć, że w ogóle pozwoliłam im do tego zamku wejść.

– A potem co pani zrobiła? – zapytał, kiwając głową do posterunkowej Shaw, która odeszła kawałek i zaczęła rozmawiać przez krótkofalówkę.

– Usiadłam w cieniu z najmłodszą, z Evie. Nie chciała iść do zamku, a mnie bolała głowa – odpowiedziałam, obserwując policjantkę i zastanawiając się, co mówi i do kogo.

– I widziała pani ten zamek z miejsca, w którym siedziałyście?

– Tak, widziałam zjazd. Cały czas tam patrzyłam – powiedziałam, kiwając głową, chociaż wcale nie miałam takiej pewności.

– I widziała je pani wszystkie po tym, jak pobiegły do wejścia?

– T... tak – zawahałam się. – Widziałam, jak zjeżdżają, a potem znowu biegną do wejścia.

– Wszystkie? – Oderwał wzrok od notatek.

– Najpierw zobaczyłam Jacka – powiedziałam, przypominając sobie z łatwością syna, który uśmiechał się od ucha do ucha, bo poczułam wtedy ogromną radość, że dobrze się bawi.

– A potem Molly. – Miała otwarte usta, gdy zjeżdżała w dół, a kitki powiewały jej z tyłu głowy.

– A Alice? – zapytał z lekkim zniecierpliwieniem.

Milczałam. Myślałam, że widziałam ją w tamtym momencie. A może tylko założyłam, że tak było. Tak naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć, żeby zjechała w dół jak inni.

– Tak myślałam – powiedziałam, ale zaraz dodałam: – Nie jestem pewna.

– A kiedy zauważyła pani, że Alice nie ma?

– Gdy moje dzieci skończyły zabawę. Powiedziały, że nie było jej z nimi i że nie pamiętają, czy weszła do zamku. – Spojrzałam na dzieci, przerażona, że policja będzie je chciała przesłuchać.

– A jej buty? – zapytała posterunkowa Shaw, idąc w naszą stronę.

– To znaczy?

– Cóż, dzieci chyba zwykle zdejmują buty, zanim wejdą do dmuchanego zamku? Czy buty Alice tam są?

– Och. – Spróbowałam sobie przypomnieć. – Nie wiem. Nie widziałam. – Nie zauważyłam nawet, żeby moje dzieci zdjęły buty czy potem je założyły.

– Lepiej idź sprawdzić – powiedział posterunkowy Fielding, a jego towarzyszka skinęła głową i ruszyła w stronę zamku.

Serce waliło mi tak mocno, że aż dzwoniło mi w uszach. Byłam pewna, że policjant też je słyszy. Spojrzałam na Audrey i dzieci, a potem znów na niego. Dlaczego nie obiecywał mi, że Alice się znajdzie, zamiast zadawać mi tyle pytań? Teraz pytał o Harriet i Briana i prosił o numery ich telefonów.

Pogrzebałam w torbie, szukając komórki, wyciągnęłam ją i przesuwałam kontakty, aż znalazłam numer Harriet. Nie było sensu szukać numeru Briana. Nigdy go nie miałam, ale dla formalności sprawdziłam.

Opisałam czerwoną sukienkę Alice, z białym paskiem i z malutkim ptaszkiem wyhaftowanymi na górze, którą tak często wkładała. Robiła się coraz krótsza, bo Alice rosła, ale najwyraźniej bardzo ją lubiła. Powiedziałam, że miała na sobie białe skarpetki i jasnoniebieskie buty na rzepy z ozdobnymi dziurkami w kształcie gwiazdek na palcach. Poczułam ulgę, że potrafię tak dokładnie opisać jej ubiór.

Powiedziałam mu, że Alice jest mniej więcej wzrostu Molly, że ma jasne, falowane włosy sięgające tuż poniżej ramion. Nie miała żadnych spinek ani opaski. Przejrzałam zdjęcia w telefonie, żeby sprawdzić, czy nie mam jakiegoś z Alice, ale nie było. I choć obraz Alice, jaki miałam przed oczami, był tak wyraźny, jakby stała tuż obok mnie, wcale nie byłam pewna, czy dobrze ją opisałam.

– Powinniśmy jej szukać – powiedziałam. – Może być teraz wszędzie.

– Proszę się nie martwić, zaczęliśmy już poszukiwania – odparł posterunkowy Fielding. – Gdzie są jej rodzice?

– Mama na kursie w hotelu. – Nie byłam w stanie określić, w którym. Wzdłuż wybrzeża było mnóstwo małych hoteli, a nie zapytałam o to Harriet.

– A ojciec?

– Na rybach. Jeździ na ryby co sobotę.

– Dokąd?

Pokręciłam głową. Wiedziałam tylko, że jeździ na ryby.

– Okej. – Skinął na posterunkową Shaw, która wracała właśnie w naszą stronę. – Musimy skontaktować się z rodzicami. Znalazłaś coś?

Shaw dołączyła do nas.

– Butów nie ma, a kobieta, która pilnuje zamku, mówi, że nikt żadnych nie zostawił.

Posterunkowy Fielding spojrzał na mnie. Nie musiał mówić, co myśli. Czułam przytłaczający ciężar mojej nieodpowiedzialności.

– Czyli najprawdopodobniej w ogóle tam nie weszła – stwierdził.

Gdy posterunkowa Shaw próbowała dodzwonić się do Harriet, podeszłam do Audrey i dzieci. Patrzyłam na plecy policjantki, która odeszła kawałek, i starałam się usłyszeć, czy udało jej się połączyć, wyobrażając sobie moją przyjaciółkę po drugiej stronie linii, gdy funkcjonariuszka mówi jej, że jej córka zaginęła.

– Cała się trzęsiesz – powiedziała Audrey. – Usiądź. Przyniosę ci jeszcze wody.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, nie odchodź. – Gula żółci tkwiła mi w przełyku i za nic nie chciałam, żeby Audrey mnie zostawiła.

– Nic Alice nie będzie. Przecież wiesz, prawda? Szukają jej już, jak powiedział ten policjant, i znajdą ją.

– A jeśli nie? – zawołałam. – A jeśli to ten sam facet, który porwał w zeszłym roku małego Masona? I nie znajdziemy jej, i nie dowiemy się, co się stało? Jezu Chryste! – Rozpłakałam się i poczułam, jak Audrey mnie obejmuje, gdy ugięły się pode mną nogi. Złapała mnie za łokcie i przyciągnęła do siebie. – Ja tego nie przeżyję. Nie przeżyję tego, jeśli ona się nie odnajdzie.

– Przestań – powiedziała. – Przestań. Znajdzie się. To nie ma nic wspólnego z historią Masona. Alice po prostu gdzieś odbiegła i się zgubiła. Nikt jej nie porwał, na litość boską. Gdyby tak było, ktoś by coś zauważył.

– Nie możemy skontaktować się z matką – oznajmił posterunkowy Fielding, podchodząc do nas. – Muszę zadać więcej pytań, jeśli pani pozwoli, ale chciałbym też podejść z panią do tego zamku, dobrze?

Audrey została z dziećmi, a ja ruszyłam z policjantem przez boisko. Wypytywał o rodzinę Alice. Czy Harriet i Brian na pewno są ze sobą? Potwierdziłam. Czy dziadkowie mieszkają w pobliżu? Powiedziałam, że nie, i pytania urwały się, bo dotarliśmy do zamku, na którego tyłach kręciło się kilku policjantów.

– W płocie nie ma przejścia ani dziury – powiedział jeden z nich, podchodząc do nas. – Po drugiej stronie drzew jest pole golfowe, a obok niego parking, na którym panuje spory ruch.

– Monitoring?

– Sprawdzamy.

– Świetnie. – Posterunkowy Fielding pokiwał głową i rozejrzał się. Tłum podzielił się na drobne grupki skupione wokół stoisk. Ci znajdujący się najbliżej obserwowali ruch wokół zamku z nieskrywanym zainteresowaniem. – Mogła wymknąć się w każdym kierunku – mruknął. – Udało się skontaktować z rodzicami? – zapytał, zwracając się do posterunkowej Shaw, ale ta tylko pokręciła głową.

Alice by tego nie zrobiła, chciałam powiedzieć, ale wstrzymałam oddech, czekając, aż zdecydują, co dalej. Ona nie należała do dzieci, które się wymykają. Ale jeśli miałam rację, to wolałam nawet nie myśleć, co to oznacza.